

Ballada o perfidii, która kieruje naszymi losami

11 grudnia 2020

Tak się jakoś złożyło, że piszę felieton na tydzień przed jego publikacją. Zaletą tej formy artykułów jest to, że są ponadczasowe i mają charakter bardziej refleksyjno-literacki, lub jak kto woli, komentatorski.



Dlatego tak, to ostatni felieton, pisany jeszcze przed wylotem w rejon Górskiego Karabachu. Poczeka więc na swoje stałe miejsce w gazecie, by jak zawsze w piątek ukazać się na łamach „Trybuny”. Nie wykluczam, że do tego czasu zdążę już wysłać świeże relacje i materiały z pięknego, ale wciąż ociekającego krwią miejsca – jeśli oczywiście zasięg pozwoli. Niech więc Was to nie zmyli – nie jest nas dwóch – a gdy to czytacie, jestem już gdzieś w pięknych górach tego spornego rejonu, z którego relacje będę przesyłał na bieżąco. W miarę sił i możliwości.

Piękne góry, ale też niezwykle niebezpieczne okolice, gdzie wszystkie strony konfliktu – ponoć już doszli do porozumienia – dosyć szczerze poukrywali najbardziej perfidne narzędzia do zabijania i trwałego okaleczania ludzi – czyli miny

przeciwpiechotne. Jeszcze nie jestem na miejscu, ale w pamięci przywołuje doświadczenia z pobytu w Kosowie, gdzie również nie szczędzono tych okrutnych pułapek, których ofiarami bywają głównie cywile i to wiele lat po rozstrzygnięciu, zawarciu pokoju, lub innego powodu zmiany polityki z wojennej na pokojową. Za dużo czasów w jednym zdaniu – przeszły, teraźniejszy i przyszły.

Oczywiście nikt nigdy nie ponosi żadnej winy, ofiary natomiast pozostają zazwyczaj same ze swym kalectwem. I to tylko wtedy, jeśli miały szczęście i przeżyli. Najczęściej poszkodowane są bawiące się w lasach dzieciaki, które korzystając z zakończenia wojny mogą wreszcie pohasać do woli, wyjść ze schronów, opuścić kryjówki i pobiegać pobawić w okolicy.

Pułapki te są porozkładane chaotycznie, zwykle bez żadnych planów, które pozwoliłyby później saperom je rozbroić. Oczyszczyć rejon. Jeśli jakiś teren zabezpiecza przed wrogiem regularne wojsko, to zwykle ma jakiś plan – chociaż i tu nie można wykluczyć, że któryś z żołnierzy zakopał kilka więcej – ot tak, na własną rękę.

Gorzej gdy robią to sami cywile. Początkowo pamiętają, potem gdzieś to zanika, lub ci którzy pamiętali zginęli, wyjechali, albo wycofali się zostawiając drugiej stronie te śmiertelne „niespodzianki”. Zalegają pod ziemią nawet kilkadziesiąt lat. Sam będąc nastolatkiem szukałem wszelkiego rodzaju niewypałów w okolicznych lasach. W czasach okolicach mojego dzieciństwa, bardzo długo stał front. Z jednej strony Wisły – Armia Czerwona, z drugiej – Niemcy. O partyzantce już nie wspominając.

Nie było kłopotu, żeby znaleźć pociski artyleryjskie, które potem rozbajaliśmy, co raz omal nie urwało mi nogi. Do tej pory chodzą poszukiwacze pamiętek i skrupulatnie przeszukują teren specjalnymi wykrywaczami. Za czasów mojej młodości nikt nie miał takiego sprzętu i zapewne udawało się znaleźć znacznie więcej, niż obecnym hobbystom wybuchowych wrażeń,

często przekonanych, że nic im nie grozi, bo proch już zwietrzał, wszystko przerdzewiało i nic się stać nie może. Wyprowadzę z błędu, zawsze może, nawet jeśli proch być może zamókł, mogły zostać ale zostały aktywne i naprawdę mające dużą siłę rażenia spłonki, został trotyl, czy dynamit. Ale z drugiej zaś strony, tą pasją robią dobrą robotę.

Usuwać to, po czym przeszło już tysiące ludzi, ale w końcu mogłoby eksplodować pod nogami rodziny na grzybach. Nauczyłem się już uważać i rozpoznawać miejsca gdzie mogą być schowane, ukryte te potworne i bezosobowe pułapki. Jakaś anomalia na niewielkiej przestrzeni, świeża ziemia, liście lub patyki niezgodne z układem pozostałej części terenu. Lecz i to z czasem zaniknie, urosną krzaki, drzewa, przyroda dostosuje się do pozostawionych znaków i bardzo skutecznie je zakamufluje.

Wtedy jedynym sposobem skutecznego pozbycia się śmierci spod powierzchni, jest sposób Karguła i Pawłaka – czyli podpalenie całego obszaru. Im było łatwiej, bo to jedynie trochę morgów, kilka hektarów zboża. W górach niemożliwe. Zbyt duży teren, kamieniste i niepalne podłoże, często z daleka od roślin, które mogłby strawić ogień. Podpalanie lasów nie jest więc najlepszą formą rozminowania.

Każda wojna jest bez sensu, każde strzelanie i zabijanie służy interesom jakiś oligarchów podsycających ludność do wzajemnej nienawiści w imię swoich interesów. W przeciwieństwie do strzałów czy bomb, przed którymi można się jakoś zabezpieczać, to wobec min pułapek jesteśmy bezbronni. Nikt nie wie dokładnie ilu takich bezbronych ludzi zginęło, ilu zostało okaleczonych. Widziałem ich w Kosowie dziesiątki.

Ostatni tydzień był hardcorem i rollercoasterem na sterydach. We wtorek dowiedziałem się, że mogę zabrać się z grupą reporterów w rejon walk Górskiego Karabachu, czyli Republiki Acach. Nazwa zależy od granicy, zza której mówimy o tym rejonie. Od strony Armenii jest to Republika Acach, z Azerbejdżanu natomiast Górski Karabach. Gdy tylko zadzwonił

telefon z informacją, a że czeka mnie wyjazd i to już teraz – szóstego grudnia, wpadłem w euforię. Trochę opadła, gdy zobaczyłem ogrom dokumentów, które muszę wypełnić, wszystkie w języku rosyjskim, wszystkie cyrylicą. Droga przez mękę, ale dzięki pomocy przyjaciół udało się złożyć wszystko w terminie. Wszelkie prośby, pozwolenia, akredytacje do ministerstw kilku państw. Najgorzej było z Armenią, kilka razy odmawiali, bo brak podpisu kierownictwa gazety – jadę jako reporter „Trybuny” – a to brak pieczętki. Ponieważ mieszkam jakieś 130 kilometrów od Warszawy i tym samym od siedziby redakcji, musiałbym tam pojechać, ale nic by to nie dało, bo w siedzibie też nikogo nie było – większość pracuje online – lekko się podłamałem, naprawdę, bardzo zależało mi na tym wyjeździe. W końcu napisaliśmy, że z powodu pandemii redakcja jest nieczynna, pracujemy zdalnie i nikt nie ma dostępu do pieczętek i możliwości podpisania odpowiednich dokumentów. Przez trzy doby zdobywałem niezbędne zaświadczenia, stojąc na głowie, ale mimo to wciąż przychodziły odmowy z Armenii i Republiki Arcach. Wszystkie inne państwa wyraziły zgodę, blokował mnie jedynie Erewań.

Gdy myślałem, że jest już pozamiatane i nigdzie nie jadę, we czwartek rano dzwonek telefonu, ponownie od organizatorów, usłyszałem – że „już wszystko załatwione”, mam nawet bilet, przesłany który natychmiast przesłali mi pocztą – i że wylatuję w niedzielę. Ulga, a jednocześnie pęd pakowania i organizacji niezbędnych rzeczy. Dzisiaj jest piątek, pojutrze zatem wylatuję, najpierw Mińsk, przesiadka i już prosto do Erewania. Wciąż nie jestem w pełni spakowany i wciąż nie kupiłem wszystkiego, co mi potrzeba. Ale trudno. Najważniejsze mam, czyli dyktafon, zeszyt, długopis, tablet i papierosy. Więc jadę, jadę w ten zapomniany, sporny choć podobno chwilowo spokojny rejon, w którym nie ma nic, żadnych złóż mineralnych, ziemi uprawnej. To obszar górski, kamienny, może dlatego świat specjalnie nie relacjonuje tego konfliktu. Tam nie ma światowych agencji, świat traktuje to jako lokalny konflikt, a dla mieszkańców to wojna. Wojna w najbardziej perfidnej

formie, gdzie wciąż strony używają narzędzi, które zostały już oficjalnie wycofanych z użytku przez większość państw.

Mimo, że światowi giganci nie ratyfikowali tego porozumienia, nie usprawiedliwia rozsiewania opóźnionej śmierci przez każdy kraj, który prowadzi jakąś wojnę. Nie będę teraz opisywał co wiem o tym konflikcie, bo być może na miejscu zobaczę zupełnie co innego niż to, czego się tu naczytałem i będę musiał odszczekiwać. Będzie to mój osobisty, kolejny sprawdzian po dawnej Jugosławii i Kosowie. Czy poradzę sobie gdy wrócę. Jeżdżąc w środek konfliktu zwykle widać gdzie i jak wyglądają prawdziwe ludzkie problemy. Bardzo trudno jest potem wrócić do Polski i pisać o krajowych aferach mając jeszcze przed oczami ludzką tragedię. Nie ma nic gorszego niż wojna, to tak jakby zło całego świata skumulowało się na jednym małym skrawku ziemi. W każdym konflikcie jest właśnie to wszystko czym gardzimy, czego nienawidzimy i czego się boimy. Od zwyrodniałców i sadystów, przez podstępnych strategów traktujących ludzi jak statystyczne dane, po mój osobisty problem. Alkohol i narkotyki, wbrew zapewnieniom sztabów wszystkich armii świata, środki psychoaktywne wciąż podaje się żołnierzom podczas – szczególnie niebezpiecznych i wymagających sporej dozy szaleństwa – działań bojowych. A w niektórych każdemu, kto idzie walczyć.

Kolejnym moim osobistym problemem jest powrót. Podczas całego pobytu mam gdzieś z tyłu głowy, że jestem tu na chwilę, że zaraz wrócę do swojego bezpiecznego mieszkania. To dosyć traumatyczne wiedząc, że ludzie z którymi dopiero rozmawiałem muszą tam zostać drżąc i walcząc o życie. Świat jest zły, wszyscy mówią, że jeśli zawsze tak było, to tak musi być, że taki jest świat, że go nie naprawię, że nikt nie naprawi. A może jednak komuś się uda. Nie musimy powielać dotychczasowych zbrodni i błędów pod pozorem „taki jest świat” świetny pretekst by uspokoić sumienie i odwrócić głowy od zbrodni tłumaczonych humanitarną interwencją.

Wystarczy, bo się nakręcam i rozpędzam, znowu dostanę

opierdziel, że za długi tekst przysłałem. Do przeczytania
niebawem.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info